

GRA  
WYOBRAŹNI

POEZYE

B. KORDY

SERYA PIERWSZA



KRAKÓW

NAKLAD I DRUK W. L. ANCYCA I SPÓLKI

1807

GRA WYOBRAŹNI



GRA  
WYOBRAŹNI

POEZYJE

B. KORDY



SERYA PIERWSZA



KRAKÓW

NAKŁAD I DRUK W. L. ANCZYCA I SPÓŁKI

1897

BIBLIOTEKA GŁÓWNA  
Uniwersytetu w Białymstoku



FUW0100265

02



██████████  
48818

1

K-52/77/48818

\* \* \*  
Gdy spojrzę na świat wzrokiem miłości,  
Nieraz się, nieraz mi zdaje,  
Że straszny Jowisz tworząc tę ziemię,  
Przeklął jej ludy i kraje.

Że morza na niej lżami się leją,  
Lżami się burzą i mącą,  
We dnie i w nocy głębie wzbierają  
Lż tych goryczą trującą.

Że rzeki płyną do mórz tych strasznych  
Krwii potokami ciemnymi . . .  
— Lecz to jest tylko grą wyobraźni —  
Przecież tak nie jest na ziemi.

Wszak w rzekach zdroje nie są szkarlatne,  
Lecz barwą nieba lśnią siną.  
A że w odmętach woda jest słoną —  
Wszak nie lży temu przyczyną.

O nie! Lecz jest tam sól pożyteczna,  
Z którą się fala zmieszała...  
Przełoż i morska kąpiel wyborno  
Służy dla ducha i ciała...

\*

Gdy spojrzę na świat wzrokiem rozwagi,  
Zawsze się, zawsze mi zdaje,  
Że Bóg przekląwszy ziemię, złym duchom  
Rzucił jej ludy i kraje.

Że strasznych zbrodni żmija potworna —  
Przez wszystkie wieki i lata —  
Ciałem swem czarnem, ciałem swem wstrętnem  
Pierś jej po stokroć oplata.

We dnie i w nocy gryzie ją, kąsa,  
Paszczami ssie ją setnemi...  
— Lecz to jest tylko grą wyobraźni —  
Przecież tak nie jest na ziemi.

Prawda, że idzie drut telegrafów  
Przez mórz i lądów przestworze...  
Ależ na żadnej mapie nie znajdziesz  
Wzmianki o owym potworze...

Zresztą, chcąc trzeźwo patrzeć na rzeczy,  
Nie tak jak wieszczki patrzyły:

To gdzież pod słońcem wąż tak olbrzymi —  
Żeby mógł obwieć świat cały?!...

\*

Gdy patrzę na świat okiem człowieka,  
Co pragnie życia i ciepła:  
Myślę, że pewno krew tej planety  
W żyłach jej synów już skrzepła:

Tyle tu płąsa zimnych szkieletów,  
Mar, co bez ciała i kości,  
Tyle bezdusznych błędzi upiorów,  
Co krwią się karmią ludzkości,

I tyle karłów, które świat plamią,  
Depcąc go stopy podłemi...  
— Lecz to jest tylko grą wyobraźni —  
Przecież tak nie jest na ziemi.

Trupy! — fantazyje! — halucynacje! —  
Mało co śni się pocie...  
Chyba że dziecko jakie uwierzy,  
By trup mógł chodzić po świecie —

Karły są — prawda; lecz ich tak mało...  
Tłumy podziwiać ich biegają...  
A wszyscy ludzie — biorąc na ogół —  
Zwykle są wzrostu średniego.

\*

Lecz gdy prawd ziemskich głębie znurtować  
 Duch mój daremnie się truzdi,  
 Widzę, że jakaś moc tu ukrywa  
 Światło niebieskie od ludzi.

Ciemność straszliwą, ciemność głęboką  
 Zjawisk odbiły zwierciadła.  
 Życiem narodów, mędrców myślami  
 Noc nieprzebyta owładła.

Z dołu i z góry, z lądów i z morza  
 Zieje mrokami wiecznymi . . .  
 — Lecz to jest tylko grą wyobraźni —  
 Przecież tak nie jest na ziemi.

Gdzie tam! toż słońce wschodzi co dobre,  
 Dzień cały płonie nad światem . . .  
 Świecąc promiennie, grzeje ogniście,  
 Wiosną szczególniej i latem.

Znam kraj, gdzie upał taki, że . . . figi  
 Nie potrzebują cieplarni . . .  
 A w wielu miejscach dzień tak doskwiera,  
 Aż nawet . . . ludzie tam czarni! . . .

\* \* \*

Nie budźcie lunatyków, kiedy jako strachy  
 Samotni wstają z łoża w noc miesięczną, jasną  
 I błądzą wśród pustkowia lub się pną na dachy,  
 Nim znów, przed zejściem nocy, tak jak inni zasną.

Nie budźcie, chociaż dla was czeza ta moc księżycą,  
 Co nimi jako urok, jako czar owładła,  
 Choć oczy ich zamknięte i zamarte lica,  
 Choć naraz w nocy śpiących straszą jak widziadła.

Nie budźcie! bo gdy nagły krzyk wasz ich uderzy,  
 Gdy który z nich się ocknie, zawołany zdradnie,  
 I ujrzy się wiszącym na wierzchołku wieży . . .  
 A przed nim taka przepaść... zleknie się i — spadnie!

Nie budźcie . . . przecież gdyby nie ów czar ukryty,  
 Nie sen ów, nie to światło z siłą swą tajemną:  
 Więc któżby się odważył piąć na takie szczyty  
 I idąc w brzask, zawisnąć nad przepaścią ciemną?!

\* \* \*

Wicher nam żagle pozdzierał, połamał nam maszty,  
Statki nam w drzazgi rozbila zdradliwa mielizna,  
Pożar zrujnował zagrody i miasta i baszty —  
Gdzież nasza dola i rola i dom i ojczyzna?...

Grady nam żniwo potlukły i pracę zniszczyły,  
Z falą i z dymem ojcowiska spłynęła puścizna,  
Piorun nam krzyże z nad świętej wyrócił mogiły...  
Gdzież nasza dola i rola i dom i ojczyzna?...

Zamieć nam drogi zawiąła... i pierś nam już  
[skrzepla...  
W trudach i znojach ran starych otwarła się blizna,  
Nędza nam resztki wyssała i wiary i ciepła...  
Gdzież nasza dola i rola i dom i ojczyzna?...

Zdrada nam serca krwią zlała, jęk z piersi wydarła,  
Rozpacz nam ducha zabiła, jak straszna trucizna,  
Przemoc nam karki ugięła — i w proch rozpostarła,  
Gdzież nasza dola i rola i dom i ojczyzna!!

---

\* \* \*

W miesiąca brzasku skrzydłem lekkim, cichem,  
O, porzuć, porzuć szczęścia kraj promienny  
I zejdź z świecącym lilii twej kielichem  
Na padół kłesk mych, tak jak noc bezdenny!  
O, zstąp!... Niech korne siostrzyc twoich roje  
Śpiewają glorię Panu Jasnej Strony —  
Zejdź, zstap z miłością w to królestwo moje —  
Ja czekam smutny, smutny i strudzony.

Eloe!... Eloe!...

\*

O, niechaj Pan ten, co dla gróźb mych głuchy,  
Przebywa w blaskach wiekuistej chwały —  
Ja czekam w mrokach, wiecznie rwąc łańcuchy,  
I ręce moje od nich krwią się zlały.  
Skróń moją grom poorał... pierś, skąsaną  
Przez plazy, wzbiera jadem i zgryzotą...





O, zjeżdź w uśmiechach piękna i zorzana  
I rozprosz mrok mój swą czystością złotą!

Eloe!... Eloe!...

O, zstap, o, słuchaj... W zamian tych promieni,  
Co ludzłą wzrok twój ciszą i pokorą,  
Ja dam ci wieczne źródło tych płomieni,  
Którymi duchy nieuległe gorą.  
Ja dam ci w zamian — pełne trosk szalonych —  
Królestwo bólu — świętsze niż twe Nieba!  
Dam plemię wielkie istot potępionych,  
Dla których tkliwej twój pociechy trzeba!

Eloe!... Eloe!...

O, zstap!... Ty będziesz cichemi skrzydłami  
Zwątpienia zmory od mych skroni zwiewać...  
I każdą skazę, która pierś mi splami,  
Balsamem lez swych kojącym oblewać.  
Dotknęciem rzewnem dłoni swej liliiowej  
Jątrzący będziesz ogień ran mych studzić...  
I okalone przez piorun Jehowy,  
Do walki znowu będziesz duchy budzić!

Eloe!... Eloe!...

\* \* \*

Śpią łądy we mgłę gęstej, którą świat spowila,  
Pod gęstą mgłą, co niebo zaciągnęło w górze;  
Śpią morza — jakaś dziwna, magnetyczna siła  
Ujęła oceany, ugłaskała burze.

Śpią cicho na bezdrożach floty rozproszone,  
W niebiosach przewodniczej nieznalazłszy gwiazdy,  
Śpią orły, śpią podchmurną opuściwszy stronę,  
Nie słysząc nad skalami ich wicherzącej jazydy.

Śpią kwiaty, u swych łodyg obwinęte zmiją,  
I tylko na jeziorach płaczą gdzieś łabędzie...  
A tu przy chatach naszych — psy na stracha wyją...  
I przez sen wciąż koguty krzyczą, że sędzień będzie!

\* \* \*

Pamiętasz sępie czasów stary,  
Gdy grom bił we mnie ze wszystkich stron.  
Jam pierś nadstawiał na te żary,  
A tyś zagłębiał w nią swój szpon.

Tyś mi rozdzierał piersi raną,  
By serce gryść, co rosło wciąż,  
I żyło, codziennie wyżerane...  
Lecz dziś już zmalat dumny mąż ..  
Dziś słabiej rośnie serce w ranie...  
I gdy — po przejściu gnuśnych lat —  
Odrastać całkiem już przestanie:  
To cóż ty, sępie, będziesz jadł?!...

---

\* \* \*

Gdy naród szemrał, iż w niedoli żyje,  
Laknąc swobody, i gdy go kąsały  
Buntowniczości płomieniste żmije,

Na które strasznie lud zaniemógł cały:  
Wówczas mu Węża upletli wodzowie  
Z rzemienia, z skóry surowcowej, trwałe]

I wznieśli w górę, ponad rzeszą szarą,  
By wciąż nad sobą czuli go mężowie . . .  
A kto na Węża tego spojrzal z wiarą —

Cudownie przez to wnet odzyskał zdrowie.

---

\* \* \*

Gdy w czynach ziomców błąd spostrzeżesz srogi,  
Zechcesz odwrócić ich od błędnej drogi,  
U której kresu czyha sęp zagłady;  
Lecz gdy ci serca nie stanie i ducha,  
Krew za nich przelać swą — to próżne rady,  
Próżne wołania — nikt cię nie usłucha.

Lecz gdy bez trwogi — tak jak mąż ów dumny,  
Niezlomny sercem, nawet wobec trumny,  
Rozbijesz pierś swą i złany krwi zdrojem,  
Skonasz, wołając na te rzesze głupie:  
»Chybaż po trupie wy przejdziecie moim!« —  
To wtedy oni... przejdą po twym trupie!

---

\* \* \*

Nam wolno z życia drogiej czary  
Pić słodkie miody i nektary,  
Nim świeży uczuć zwiędnie maj,  
Możemy marzyć sobie,  
Możemy pieśnią boski Raj  
Na ziemskim stwarzać globie.  
— Lecz choć nektaru pełna czasza,  
Niestety! smutna dola nasza.

Nam wolno z życia cudzej czary  
Pić słodsze hojnych losów dary:  
Gdy miłość w rozkosz, w szal się zmienia,  
Możemy sztydzić z chwaly,  
Możemy w chwilce upojenia  
Z wieczności zadrwić całej!  
— Lecz choć rozkoszy pełna czasza,  
Niestety! smutna dola nasza.

Bo my nie możemy z jednej czary  
Oslodzić wszystkich bied obszary,

Bo my nie możemy — nędzy dzieci —  
 Osuszyć wszystkich lez...  
 Zatrzymać krwawy chód stuleci,  
 Położyć zbrodniom kres.  
 — Niestety, gorzka dola nasza,  
 Zatruta krwią godowa czasa!...

Nam trzeba rzucić uciech ezary  
 I patrzeć w świat posępny, szary:  
 Czy lan ten już się zazielenia,  
 Gdy grady klęsk spadały,  
 Gdzie kośćmi ludzi poświęcenia  
 Usiano zagon cały.

Bo zawsze smutna dola nasza  
 I pełna lez życiowa czasa...

Nam trzeba rozbić uciech ezary,  
 Gotować życie do ofiary:  
 A nim krwią naszą spłynie kraj,  
 Możemy wierzyć sobie,  
 Że kiedyś Niebo, kiedyś Raj  
 Na naszym wzrosnie grobie!  
 — Bo wiecznie gorzka dola nasza  
 I pełna lez życiowa czasa...

Śpij, dziecino, zmróż senne powieki  
 I nie szczebioocz — już późna godzina.  
 Słyszysz? słyszysz? z wieżycy dalekiej  
 Zegar północ wydzwaniał zaczyna...

Śpij... Już dawno zaczęły zawisnąć  
 Nad doliną ponure tumany...  
 Ja kolysać cię będę, kolysać —  
 Aż do samej jutrzanki różanej!

Ja ci będę w noc ciemną, w noc głuchą  
 Służyć czatą miłości ochrończą,  
 Będę bajki ci szeptać na ucho,  
 Z których wszystkie wesoło się kończą.

Póki wróżki ustrzegą cię jeszcze  
 Przed tą prawdą żelazną i krwawą:  
 Śpij, niepomna na mroki złowieszcze,  
 Zaśnij, wierząc, że sny twe są jawą!...

Że jak jasno nad twoją kołyską —  
 Tak rozwidnia się wszystko od świtu...  
 I że gwiazdy są od nas tak blisko —  
 Aż je można zdjąć dłonią z błękitu!...

Śpij, dziecino... Niech wiosna twa marzy  
 O twem lecie pogodnem, wesołem.  
 Niech ci zawsze, gdy uśmiech na twarzy,  
 Dusza z dobrym rozmawia aniołem.

Śpij... Już dawno zaczęły zawisać  
 Nad doliną ponure tumany...  
 Ja kołysać cię będę, kołysać —  
 Aż do samej jutrzeńki różanej!

Ty mnie pytasz: »Czy prawda, że ludzi  
 »W lesie wiedźma pożera straszliwa?...  
 »Czy to prawda, że w nocy się budzi  
 »Potwór z kosą, co dzieci porywa!...«

Cicho, cicho... nie pytaj się z trwogą...  
 Strachy pójdą w dalekie pustkowia.  
 Zaśnij, zaśnij... tu niema nikogo...  
 Matka czuwa u twego wezglowia.

Ja nie będę, nie będę wśród nocy  
 Mącić dum twych baśniami strasznymi...

Chociaż »potwór« świat trzyma w swej mocy...  
 I choć wilków tak dużo na ziemi!...

Śpij, dziecino... choć dzień tak daleki...  
 Niechaj zmora ucieka obrzydła.  
 Nie otwieraj półsennej powieki,  
 By w ciemności nie ujrzeć straszidła.

Śpij... Już dawno zaczęły zawisać  
 Nad doliną ponure tumany...  
 Ja kołysać cię będę, kołysać —  
 Aż do samej jutrzeńki różanej!

Ty mnie pytasz, wciąż pytasz mnie, droga,  
 Z tak rozumnym — nad lata wyrazem:  
 »Kiedy ojciec powróci od Boga?  
 »I siostrzyczka?...« co poszła z nim razem!...

Tam... u Boga... jak w cichej alkwie,  
 W złotych gajach mieszkają niebianki...  
 Tam, jaśniejac w zielonej dąbrowie,  
 Chrystus smutne pociesza baranki...

Choć »u Boga« tak cicho, jak we śnie,  
 Ja ci prawdę w złud tęczę ubiorę...  
 Ja nie powiem ci prawdy tak wczesnie —  
 Jeszcze sama wszak dowiesz się w porę!

Śpij, dziecino... Już tęcza pobladła...  
 Już w ogródku twym zwiędły blawatki...  
 To nie gwiazda w kołyskę upadła —  
 To stoczyła się, dziecko, lza matki!

Śpij... Już dawno zaczęły zawisnąć  
 Nad doliną ponure tumany...  
 Ja kołysać cię będę, kołysać —  
 Aż do samej jutrzeńki różanej!

\* \* \*

Niech mistrz namaluje dla mej ukochanej  
 Krajobraz fantastyczny i zaczarowany...

\*

Niech tam będą niebiosa jasne i błękitne  
 Jak jej oczy... doliny, łąki aksamitne...  
 I wijące się drożki pośród muraw mglistych,  
 Złote wzgórze, gaj pełen piosnek jej srebrzystych;  
 I niech będą dnia blaski, jak jej wzrok palące,  
 Krople rosy jak tzy jej... tęcze w łzach błyszczące...

Lecz niech będą i grotty glucho i tajemne,  
 Jak tajniki jej duszy... i przepaście ciemne...  
 I niech do gwiazd się skala skronią pnie lodową,  
 Niedostępna jak pierś jej... i o skalę ową  
 Niech się rozbija morze wrzące, niezgłębione,  
 Jako miłość ma — wielkie — ciemne — i szalone!

\*

O, niech mistrz namaluje dla mej ukochanej  
 Ten prześliczny krajobraz — morzem tem zalany!



\* \* \*

Blask ostatni, blask daremny  
Krwawej zorzy w chmurach znikł...  
Z toni kłęsk, z przepaści ciemnej  
Rozpaczliwy wzbił się krzyk.

Krzyk ratunku, krzyk złowrogi  
W szturm uderzył do Twych bram:  
On chce przebić Twoje progi  
I przerazić Ciebie tam!...

Spojrz!... już ręce nam omdlały,  
Sił ostatek w piersi zgasł...  
Jak gdy łódź rozbiją waly —  
Tak rzucono w otchłań nas!...

Jak gdy zwierza psy osaczają  
Wśród dziedzicznych jego kniej:  
Tak bez skargi i z rozpaczą,  
My czekamy zguby swej!...

Jak gdy okręt w nocy tonie,  
 Na dnie jego więźniów rój  
 Lamie, drżąc swe skute dłonie  
 I przeklina wyrok Twój.

Tak my w Twoje głuche strony  
 Pełną grozy wnosim twarz:  
 Tak w okowach — przerażony —  
 Cały naród tonie nasz!

\* \* \*

Śnilem, że wśród ciemności głuchej i złowrogiej  
 Nagle jakiś zgiełk dziwny zbudził się w oddali,  
 Zrazu podobny jękom wzbierającej fali,  
 Potem wzrastał jak wichry w nawałnicy srogiej,  
 Wreszcie rozgrzmiał się groźbą piorunów tysiąca,  
 Co tłuką w oceanów rozszalałych wody...

— To przeszłość wielka, straszna, serce miliardem  
 [wrząca,  
 Powstawszy, zawołała z otchłani:  
 — »Swobody!«

I zaczęły się roić, jak liście jesienne,  
 Postacie wielkoludów z zamierchłych stuleci,  
 Zadrżały gladyatorów posągi kamienne,  
 Z pomników Medycejskich powstałi atleci  
 I krzyknęli »Swobody!«... i biegli tytani,  
 Piorunowe swe hasło obwieszczając ziemi.

Skrzą gwiazdy... i wonną pierś pączków  
Dreszcz tajnej przejmuję rozkoszy.

\*

Czy wiesz ty, co w noc księżycową,  
Gdy wiosna swe czary rozleje —  
Czy wiesz ty, co w noc księżycową  
W tym parku rozkosznym się dzieje?

\*

Tam... w gronie fiołków niewinnych  
Trzepocąc skrzydełkiem motyla,  
Obudził się Amor... i patrzy —  
I główkę z za krzaku wychyla.

Ach, ten nieśmiertelny swawolnik  
Nanowo chce zacząć swe szaty!...  
I w woni róż świeżo rozkwitłych  
Zatruwa śmiertelne swe strzaly!

I strzela do... gwiazd, do księżycy,  
Do kwiatów, co chwiją się drżące...  
I strzela do białych posagów,  
Co stoją bez ruchu, mileżące...

\*

Czy wiesz ty, co w noc księżycową,  
Gdy wiosna swe czary rozleje —  
Czy wiesz ty, co w noc księżycową  
W tym parku rozkosznym się dzieje?

\*

Ach, luba!... tam nawet głaz zimny  
Miłości zapragnie i szalów!  
Tam nawet posagi kamienne  
Zstępują ze swych piedestałów!

Zstępują bez szmeru jak duchy,  
Na schadzkę zbiegając się błogą...  
I chodzą parami w alejach,  
Gdy z ludzi tam niema nikogo.

I potem wzruszone i drżące,  
Coś szepcą w księżycy tumanie...  
Coś szepcą... i wreszcie — sam na sam  
W cieniejszej znikają altanie.

\*

Czy wiesz ty, co w noc księżycową,  
Gdy wiosna swe czary rozleje —  
Czy wiesz ty, co w noc księżycową  
W tym parku rozkosznym się dzieje?...

II.

Po przebudzeniu.

To sen był . . . Już dawno chochliki  
Nie szmerzą wśród listków, nie gwarzą;  
Już słońce otwarło źrenicę  
I złotą uśmiecha się twarzą.

I wzrokiem swym lśniącym, jaskrawym  
Pozłaca obłoki i drzewa,  
Wypija ostatnie lzy rosy  
I mgłę pod krzakami rozwiewa.

I wszędzie witając poranek,  
Hymn ziemia podnosi wesoly,  
Śpiewają w błękitach skowronki  
I brzęczą u domków swych pszczoły.

I wszędzie na klomby kwieciste,  
Na kręte drożyny, na trawę,  
Padają błyszczące dnia smugi  
I cienie topoli sinawe.

\*

To sen był... Czar zniknął... i róża  
Przestała już szeptać i wdychać...  
Amorek się zamknął w jej łonie,  
Nie widać go nigdzie, nie slychać.

I tylko na piasku wilgotnym  
W alei ślad błyszczy tajemny...  
Ach, droga!... toż ślady te wiodą  
Aż tam do altanki tej ciemnej!...

Aż w gąszcz tej altany, co skromnie  
Obwija się w powój odwieczny.  
Tam pusto... i tylko przez szpaler  
Prześliznął się promień słoneczny.

Tam pusto!... i tylko na ławce —  
Po nocy, co zesłała prześniona —  
Pozostał... ten strzępek falbanki...  
A przy nim ta róża — zgnieciona!

To sen był. W gęstwinie posągi  
Jak przedtem znów stoją milczące,  
Bez ruchu, choć w twarz im wciąż patrzy,  
Wciąż patrzy i szydzi z nich słońce.

Ten dumnie ku niebu wznosił czoło,  
Ta twarzą uśmiecha się miłą.

Oboje tak biali, tak zimni,  
Jak gdyby nie weale nie było.

I chociaż w ich rysach dostrzegasz  
Dziś jakąś niezwykłą omdłałość —  
Lecz z czoła ich wieje chłód dawny  
I dawna wyniosłość i białość.

To sen był... I ktośby uwierzył,  
Kto nie zna snów nocy bezsennych —  
Że może choć iskra miłości  
Zapłonąć w tych piersiach kamiennych?!...

\* \* \*

### W Albumie M. S.

Kwiatów trzeba, kwiatów, żeby w smutnej dobie  
Otaczały wieńcem twoją skroń dziewczęzą;  
Pieśni trzeba, pieśni, żeby w troskach tobie  
Osladzały życie strute łez goryczą;  
Marzeń trzeba, marzeń, abyś w ranek złoty  
Mogła śnić o Raju, jak dziecina mała . . .  
Ale pocałunków trzeba i pieśszoty,  
Abyś na tym świecie chwilkę szczęścia miała!

---

\* \* \*  
— Która godzina?...

Ja nie mogę spać... mnie we śnie jakieś zmyry  
[straszne dręcą...]

Zdaje mi się wciąż, że tutaj, gdzieś, koło mnie  
[krew rozlano.

Jaacy ludzie tutaj walczą — grożą — krzyczą —  
[placzą — jęczą...]

Czuję, że to ktoś popełnia zbrodnię straszną, nie-  
[słychaną!]

Słyszę jakiś głos znajomy, co na pomoc wciąż mnie  
[wzywa...]

Ale leżę jak w letargu — ciężka niemoc pierś mi  
[gniecie.

Wreszcie zrywam się... i wszędzie, wszędzie cisza  
[przeraźliwa.

Ja nie mogę spać... mnie straszno... Taka glu-  
[cha noc na świecie!

Która godzina?...

Tam wysoko, tam w ciemności, tam nad miastem  
 [gwiazd błyszczącem,  
 Dzwoni, dzwoni jakiś zegar, jakiś wielki zegar  
 [świata:  
 I głos wzmaga się, głos leci, wstrząsa sercem mem  
 [bijącym...  
 I głos mdleje... i w dal pustą bezgranicznych sfer  
 [ulata!

Czasem śni mi się, że zwiedzam jakiś kraj zacza-  
 [rowany,  
 Pelen słońca i kolorów, pelen pięknych dobrych  
 [ludzi:  
 Wszędzie gaje, wszędzie kwiaty, jasne twarze,  
 [złote lany,  
 Wszędzie szczęście, blask... I nagle głośny śmiech  
 [mnie ze snu budzi.

— Która godzina?...

Nie wiem... nie wiem... Księżyc wschodzi...  
 [Chwile płyną, chwile cieką...  
 Chwile sączą się jak zdroje... chwile mącą się,  
 [wzbierają...  
 — Lecz czy przeszła straszna północ? czy do jutra  
 [niedaleko?  
 Czyli może jeszcze większe mroki świat ogarnąć  
 [mają?!...

Czasem znów śnię, że czar jakiś nawiał na mnie  
 [mgłę cudowną,  
 Mgłę rosistych łąk i borów, tonę w woni i w roz-  
 [koszy.  
 Ktoś mnie tuli, ktoś mnie picieci, ktoś mi nuci baśń  
 [czarowną,  
 Cudną rajsłą baśń... I nagle straszny krzyk mnie,  
 [z marzeń płoszy!

— Która godzina?...

Nie wiem!... nie wiem!... Księżyc schodzi...  
 [Myśli płyną, myśli lecą. —  
 Myśli wznoszą się jak ptaki... myśli płaczą się,  
 [spadają...  
 — Lecz czy przeszła straszna północ? czy się  
 [prędko mgły rozświecą?  
 Czyli może jeszcze gęstsze mroki świat ogarnąć  
 [mają?!...

Czasem z głębi ktoś mi szepce tajemnicze jakieś  
 [hasło,  
 Jakąś wielką myśl zbawienną, jakąś prawdę świętą,  
 [nową...  
 Lecz, gdy ocknę się, nic niema, wszystko znikło,  
 [wszystko zgasło,  
 Tylko w uszach jeszcze brzęczy jakieś puste, marnie  
 [słowo.



— Która godzina?...

Noc się dłuży!... Czasem błysnie... czasem wi-

[chry gdzieś zajęczą...]

Ale, zdaje się, już rano: sad się budzi, ptastwo

[gada.

W niebie jutrznia się rozwidnia, promienistą staje

[tęczą.

Czuje, jak jej pierwsze światło na powieki moje

[pada.

Słyszę cichy głos mej matki, co do pracy już mnie

[wzywa...]

Ale leżę jak umarły — w dziwnym leżę wciąż obłę-

[dzie...]

Znowu zrywam się... Znów wszędzie, wszędzie

[ciemność przeraźliwa.

Ja nie mogę spać!... mnie straszno..

Czy już nigdy dnia nie będzie?!...

— Która godzina?!...

\* \* \*

Choćbyś się bała widzieć mnie, dziecko,  
Ja przyjdę, przyjdę z smutkiem i z żalobą  
I obwinięty w mgłę północy siną,  
Posepny, ciemny będę stać nad tobą.

Zoraną bólem twarz ukryję w dłonie,  
Opuszczę skrzydła smutnie i bezwładnie;  
I z oczu moich na tve blade skronie  
Wśród nocnej ciszy lza paląca spadnie.

\*

Choćbyś się bała słyszeć mnie, świetlana,  
Ja na twem łożu koło głów usiędę  
I przez noc całą, całą noc do rana,  
O mej miłości strasznej szeptać będę.

Namiętne szepty prośbą tchnąc kuszącą,  
Tajemnym czarem serce twe zapieszczą...  
I sen twój, złoty sen dziewiczy, zniącą...  
I zadrżysz... widząc moją twarz złowieszczą.

\*

Choćbyś się bała ze mną iść, jedyna!  
 Ja ciebie zaklnę siłą klątw podziemną —  
 W zabójczy uścisk korną, jak dziecina,  
 Ja ciebie porwę — i ty pójdziesz ze mną!

O, pójdziesz, pójdziesz, drżąca i zaklęta  
 Urokiem pełnym piekielnego znoja...  
 Ty, moja Gwiazdo!... moja jasna, święta!...  
 Ty, moje Niebo!... ty... Tamaro moja!

\* \* \*

Dziwna była epoka, gdy na całym świecie  
 Wszystko barwę straciło; w sadach zbladło kwiecie.  
 Zieleni zwiędła i znikła, sinę wód zwierciadło,  
 Jak i błękit powietrza zamierzchno i zbladło.  
 Wszystko barwę straciło, nawet słońce samo,  
 Słońce stało się jakąś dziwną, mętłą plamą.

Niebo tylko brzaskami sypało szaremi,  
 I jacyś szarzy ludzie mieszkali na ziemi,  
 Z miast ich codzieli chorągwie szare powiewały,  
 I mistrze im tworzyli szare ideały.  
 Innych barw tam nie było; świat pusty i głuchy  
 Zajęły, zamieszkały szare, marne duchy.

Nie świeciły bez blasku płonące ogniska,  
 I źrenica człowieka ogniem nie połyska,  
 I krew kolor straciwszy, lic mu nie rumieni.  
 Nigdzie światła nie było, choć nie było cieni.  
 I zwolna cała ludzkość stawała się marą  
 Dziwnie czezą, fantastyczną, bezkształtną i szarą...  
 A nareszcie i całe niebo z ziemią całą  
 W jedną jakąś mgłą szarą, w jedno *nic* się złąło.

\* \* \*  
Gdy burze zwątpień zmilkną w mem łonie  
I usną w sercu żmije boleści,  
Gdy milion światów w niebie zaplonie,  
I w trawach drżący zdroj zaszłości —

Wtedy ustają bluźnierstw mych słowa,  
Wargi nie przeczą życia tyranii...  
Wtedy się kornie chyli ma głowa  
W cichej za Ludzkość Litanii.

Wtedy w brzaskowe ufny potęgi,  
Czuwam przy świętych wierzeń mych godle...  
I patrząc w niebo z złotej gwiazd księgi,  
Czytam i cicho się modle.

\*  
— Światła przewodnie błędnej ziemiicy,  
Zorze czyścicowej bytów otchłani —  
Wy, nieśmiertelni prawd bojownicy!  
Myśli zwyciężkicj kapłani!

Ziemię tę ciemną, ziemię tę szarą  
 Zdobiąc swych trudów, blasków swych kwiatem,  
 Pracą swą twórczą, wzniosłą swą wiarą  
 Módlcie się, módlcie za światem.

Może ta noc się trochę rozjaśni,  
 I przejrzą serca ślepe u ludzi...  
 I echo waszej prawdy lub baśni  
 W duszach nadzieję obudzi...

Wy, co dźwigacie męczeństw korony  
 W imię swobody, w imię miłości —  
 Wy, co do skarbnic ziemi rodzonej  
 Wiernie składacie swe kości!

W dobie męczeństwa, w zgonu godzinie,  
 Kiedy stajecie mężni przed katem:  
 Krwią, co na ołtarz życia poplynie,  
 Módlcie się, módlcie za światem!

Może z ofiarnej lejącej się czaszy,  
 Krew ta nam głębię nędzną użyjni...  
 I może kiedyś wzrosły z krwi waszej  
 Złoty plon zbierze wasz bliźni...

Wichry narodów! biecze koszące!  
 Dymne pochodnie z krwi i z płomienia!

Wy, syny mroków, mrokom bluźniące —  
 Wieszcie szyderstwa, przezenia!

Nim twórcze hasła z ziemi wybuchną,  
 By wstrząsnąć lonem jej lodowatym:  
 Burząc przeżyte dni starych próchno,  
 Módlcie się, módlcie za światem!

Może być przez was prędzej wyginie  
 Zgubnych przesądów zastęp złowrogi —  
 I na zwalonych cielew ruinie  
 Lepsze pojawią się bogi...

O wy, szermierze walki bezpłodnej,  
 Niemy swym żalem, łzą i zgrzyzotą:  
 I wy, dzieci doli łagodnej  
 Serce swoich świętą prostotą:

Wy, meteory zgasłe stuleci!...  
 Wy, słońca z wiecznym swym majestatem!...  
 I wy, artyści, i wy, poeci —  
 Módlcie się, módlcie za światem!

Niech choć przed pieśnią duchy ukłękną,  
 Udoskonaleni rosnąc potrzebą...  
 Może wszechwładnie krzwiąc się piękno,  
 Ziemię przetworzy na Niebo...

Wszysty wy silni, wszystkie wy mali —  
 Laurem swych skroni, ran swych stygmatem  
 Z światem pożarów — z grą cichej fali,  
 Módlcie się, módlcie za światem!

Pracą swą dzienną, snem swym o świecie,  
 Wiosną, jesienią, zimą i latem:  
 O ciche jutro, szczęścia przybycie  
 Wszysty się módlcie za światem!

Niechaj wam w troskach twarz rozpromienia  
 Wiara w nadejście owej pogody,  
 Wiosną cudowną, wiosną zbawienia,  
 Co uszczęśliwi narody.

Tak kiedy żale znikną w mem łonie  
 I usną w sercu żmije boleści;  
 Gdy chłód wieczorny łąki owionie  
 I we mgłach śniący sad zaszeleści.

Wtedy ustają szyderstw złych słowa,  
 Wargi nie przeczą losów tyranii...  
 Wtedy się kornie chyli ma głowa  
 W cichej za Ludzkość Litanii...

## GENIUSZ.

Samotny, zadumany błądził Geniusz  
 Wśród puszczy śnieżnej Biegunowych łądów.

A przed nim stała jego gwiazda biała  
 I cicho się w powietrzu zapalała.

A za nim pelzał jego cień po śniegu,  
 A nad nim już krążyło płastwo czarne.

Z ognistym blaskiem słońce zapadało  
 W rumiane śniegi, niby w toń skrwawioną,

A zmierzch rozlewał cienie czaszą złotą,  
 A wiatr naturze szumiał sagą starą:

»Tam, na północy, gdzie od wiecznych wieków  
 »Polarny łąd w okowach śnieżnych drzemie,

»Tam, na północy, w białem państwie zimy,  
 »U wrót stolicy tego króla śnieżnej,



I wreszcie ujrzał Geniusz w dali wieże  
I gród i ową bramę ujrzał przed nim.

W pół-światle nikłych gwiazd i pierwszych brza-  
[sków.

On podszedł tam i wyrzekł tylko słowo.

To jedno słowo było jak zaklęcie —  
I cały gmach wnet runął z hukiem, echa

Rozgrzmiły się, zanosząc wieść daleko,  
W nieznane kraje. Cała ziemia jęła.

A potem, będąc pewna, że to cud był,  
Ze strachu i z podziwu oniemiała.

On stanął na ruinach; była cisza.  
Wiatr dawno, dawno gdzieś pozostał w dali.

I czarne z trwogą gdzieś uciekło ptastwo.  
I nawet już promienny dzień nastawał.

I wreszcie już ogniste weszło słońce —  
Zdumione, zobaczyło tylko gruzy,

Ujrzało go i sądząc, że on Bogiem,  
Wnet całą postać jego oświeciło,

I laurem blasków złotych skroń ubrało,  
I dumne swe promienie u stóp kładło...

I odtąd u żywiołów i u ludzi  
Ktokolwiek czyn podobny kiedy spełnił,  
Geniuszem aż po dziś dzień tego zowią...

\* \* \*

Szydzi bóg-słońce, gdy z chmur wyplynie  
Ponad poziomów zamrocze,  
A nocą sowa w gruzach szczelinie  
Śmiechem złowrogim chychocze.

Mędrec i błazny drwią ze wszech rzeczy,  
Gdy dowcip w mózgu ich gości...  
I nawet... pusty szkielet człowieczy  
Śmieje się — z własnej nicości!

---



\* \* \*

Od naszych wieszczów niech nas Pan Bóg broni!  
To zacołaficy okrutni:  
Świat już wymyślił fortepian... a oni...  
Jeszcze wciąż grają na lutni.

---

\* \* \*

Gdy w złotym dni swych ranku, niby duch skrzy-  
[dlaty,  
Gołębią dziecka myślą zwiedzasz raj światłany  
I goniąc tam motylki, lub zbierając kwiaty,  
Pod barwnych tęcz bramami barwne depcesz lany;  
Gdy tak o brzasku życia w cichej śniąc kolebec,  
Uśmiesz się, aniołów kołysany pieniem:  
— O, nie wierz w to — to wiosna tobie baśń swą  
[szepce,  
Baśń cudną, co się zwie Marzeniem.

\* \* \*

Gdy w tęsknej uczuć dobie, w wonną noc majową  
Nad skronią twą miłości pierwszy nów zaplonie,  
Gdy pierwsze tkliwych wyznań wymawiając słowo,  
Spragnione czoło złożysz na najdroższej łonie;  
Gdy promień cichy szczęścia zaisni ci na twarzy,  
A oko twoje lzy błogie, lzy radości zroszą:  
— O, nie wierz w to — to serce tobie baśń swą  
[gwarzy  
Baśń rajska, co się zwie Rozkoszą.

A kiedy los od ciebie skroń odwróci jasną,  
I bytem twym owładną wściekle kłęsk demony,  
Gdy w niebios tych wyżynie wszystkie gwiazdy

[zgasną.

I kruchą kłodź żywota porwie wir szalony;  
Gdy z lic twych uśmiech zmyje żrąca lez ulewa  
I wstrętne zgryzoł węże twoją pierś okalą:  
— O, nie wierz w to — to Życie baśń swą tobie

[śpiewa,

Baśń stronną, co się zwie Niedolą.

\* \* \*

Lecz gdy się zmęczysz — pełen trosk i kłęsk,  
[i trwogi —

Jak zwierz ścigany w stepie wiecznie krążąc kolem  
I kiedy już przebywszy różne życia drogi,  
Strudzony, staniesz wreszcie ponad pustym dołem,  
I kiedy w nowym dole pustym, jak w kolebec,  
Skroń złożysz, by już nie śnić, jak się przedtem  
[śniło:

— O, nie wierz w to — to Wieczność tobie baśń  
[swą szepece,

Baśń cichą, co się zwie Mogiłą.

\* \* \*

Co to?... gdzieś ja?... Jakieś ściany...  
Jakieś światło — okno — krata...  
Jakiś pokój — duszny, szary...  
Pościel zimna — lodowata...

Chłodno, chmurno... W oknie gaśnie  
Odblask zorzy późny, mglisty...

A za ścianą — krzyk waryatów:  
Płacz, zgrzytanie, śmiech i świsty!

Dalej! dalej od ziemi, co w mgłach niknie drżąca!...  
Wyżej! wyżej, pod niebo, w błękitny do słońca!  
Lecę! Już ponad morza, już ponad opoki  
Wzbiłem się; już u stóp mych wieże i obłoki.  
Już ominąłem księżyc, dopędzam planety,  
Mijam je, mijam, mijam! około komety  
Przeleciałem jak wichur przez pył jej warkoczy —  
I dalej gonię światy, zaglądam im w oczy...

I wreszcie słońcu, słońcu, co tak świeci złotem,  
W twarz spojrzalem! — Zdziwione takim orłim  
[wzlotem,

Uśmiechnęło się słońce, błysło i w jasności  
 Wszystkie cudne swe tęcze skierowało ku mnie!  
 Teraz na ową ziemię chciałem spojrzeć dumnie,  
 Na ciemny, niski był jej... Lecz gdy z wysokości,  
 Z blasku, słońca wzrok spuścił w ów bezdenny  
 [padół:

Duch mi się nagle zmącił,  
 Omdlały wszystkie siły,  
 Myśli się poplątały,  
 Skrzydła się wykręciły —

Straciłem władzę latać i upadłem — na dół!  
 Padam, padam w głąb, w głąb, w przepaść stra-  
 [szną, ciemną,  
 Padam głową! i wszystko, wszystko pada ze mną,  
 Ze mną — na mnie! padają słońca i planety,  
 Ogniste meteory, księżyce, komety,  
 Całe niebo w chaosie, wali się!... tysiące  
 Światów łamią się, lecą, a z nimi wśród gromów,  
 Jakież wieże żelazne, domy, dachy domów  
 I jakieś dzwony z dzwonie porwane, bijące  
 I tłumy jakichś ludzi, szatanów, aniołów...  
 I wreszcie — sama ziemia! straszny ogrom ziemi!  
 Ze swojemi górami, z lodowcami swemi!  
 I z krzyżami swych ciężkich kamiennych kościołów!  
 Goni mnie, łowi — zmiążdży!... już, już, blisko,  
 [blisko,

Dysze ogniem wulkanów, morzem wrze nade mną,  
 — Dopędzila!!!...

Mgła... nicość... ciemno... stra-  
 [śnie ciemno.  
 Upadłem gdzieś... gdzieś nisko... strasznie nisko!

Co to?... gdzie ja?... Jakież ściany...  
 Jakież światło... okno, krata...  
 Strasznie nisko!... Duszno, szaro...  
 Pościel zimna — lodowata...

Tak, upadłem... W oknie gaśnie  
 Odblask zorzy późny, mglisty...  
 A za ścianą — krzyk waryatów:  
 Placz, zgrzytanie, śmiech — i świsty!

\* \* \*

W tym ogrodzie zielonym —  
Przed wieczorem — o wiosnie —  
Raz — na śnieżną lilijkę  
Poglądałem miłośnicie...

Upojony jej wonią —  
Przed godziną zórz złotą —  
Na tę czystą lilijkę  
Poglądałem z tęsknotą.

I gdym na nią tak patrzył,  
Zdało mi się, że ona  
Nagle drgnęła... tak, drgnęła —  
Jakby ze snu spłoszona!

Jakby żądłem ją pszczoły  
Uklął wzrok mój — tak cała  
Lilia drgnęła... i twarz jej  
Barwą róży się ziała...

I do ucha mię doszedł,  
 Gdy tak lśniła różowa,  
 Od jej listków szmer jakiś —  
 Jakby szept, jakby słowa...

Wargi ustek miodowych  
 Przytuliły się z drżeniem...  
 I sądziłem, że wiatr je  
 Tracił lekkim swem technieniem...

Nie! jam słyszał wyraźnie,  
 Co mówiła mi zęcha!...  
 I poczułem, że pierś jej  
 Ludzkim ciepłem oddycha!...

Że jej łono dziewicze  
 Pała czuciem namiętnem...  
 Że w rozkosznym jej ciele  
 Krew żyjącem gra tętnem!

Ach, pod wpływem tych czarów,  
 I tej woni uroczej  
 Nagle wrzącej krwi struga  
 Zastłoniła mi oczy...

Mózg się zmacił, wzrok zaćmił...  
 Ach, w tym szale zuchwałym

Jam zapomniał, że ona  
 Tylko kwiatkiem jest małym!...

\* \* \*

A gdym się ocknął, już dawno  
 Nad sadem ranek błysł świeży.  
 Mileżąca, zwiędła, bez woni  
 Przede mną lilia ma leży.

Mileżąca, zwiędła, bez woni  
 Na ziemi leży od rana —  
 Oddechem moim spalona,  
 W uściskach moich złamana!

Mileżąca, zwiędła, bez woni,  
 Spowita brzasku mgłą dymną...  
 I tak wiatr chłodny powiewał  
 Na skroń jej martwą i zimną...

Ach, taki zimny wiatr wionął...  
 I w niebie zorza tak zbladła...  
 I róża — taka rześista  
 Na zwiędłe listki jej spadła!

\* \* \*

Noc tak śliczna... Z błękitów patrzy gwiazd ple-  
[jada;

Fala gwarzy i błyska ponad tonią ciemną;  
Los śpi we mgle i przez sen cichą baśń powiada...  
Noc tak śliczna... Ach, czemuż niema Ciebie ze  
[mną?...]

Tam, w ogrodzie dwie lilie zakochane rosną,  
Woń rozkoszna z kielichów pochylonych płynie...  
Tam, za rzeką dwa głosy nucą pieśń miłosną,  
Tęskne echo po wodnej ściele się równinie...

Pieśń zamilkła... Cyt!... Słyszę plusk płynącej  
[łodzi...]

Łódź przemknęła i znikła — w łódce ludzi dwoje...  
Od szpaleru woń lilii rzewna mię dochodzi...  
Mileżą brzegi, drżą gwiazdy, lśnią przejrzyste zdroje.

Fala błyska i gaśnie... Lekki wietrzyk wzdycha...  
Las się budzi, szmer bieży w jego gąszcz tajemną...

Wietrzyk ustał, szum zamilkł... Luba! noc tak  
 [cicha,  
 Noc tak błoga!... ach, czemuż niema Ciebie ze  
 [mną?!...

---

\* \* \*  
 Ta poczyna, to rusalka,  
 Co w pieszczotach śmierć zadaje!  
 Szkoda, szkoda, szkoda śmiałka,  
 Który zwiedzać chce jej kraje.

Tam go splecą mgły uroczę...  
 Tam go uspią leśne głusze...  
 Tam rusalka wylaskocze,  
 Wycaluje z niego duszę!

---



\* \* \*

Są na morzu balwany, kiedy burza dzika  
Na niem wicherzy, lecz z ciszą tłum balwanów znika,  
I woda się wygładza, a okręt pomyka.

Spokojnie płynie, żagle rozwinąwszy białe...  
Są na lądzie balwany... ich widma wspaniałe  
Wznoszą się ponad ziemią tysiąc-lecia całe.

A świat korny na klęczkach liże ich podnoże...  
I zarówno wśród burzy, jak o cichej porze  
Wstrząsają te balwany całe ludzi morze.

---

\* \* \*

Widziałem Zeusa, co okiem ponurem  
Bój dwu kogutów piorunem ucisza,  
Prometeusza, który gęsiem piórem  
Wierszami wyrok pisał na Jowisza.  
Widziałem Wenus, co u swego Iona,  
Miał bogów, rosła tulila ulany...  
Widziałem nieraz Pigmaliona,  
Co natchnąć życiem chciał... garnek gliniany?

---

\* \* \*

Gdybyś ze mną poszła tą samotną drogą,  
Możebym się nie znalazł z taką gorzką trwogą,  
Możeby mi złoty jeszcze nie zgasł maj —  
Gdybyś ze mną poszła w ten bezludny kraj:

Możebyś niejedną od stóp moich źmiję  
Odegnęła w drodze... i ten grom, co bije,  
Możeby gdzieś zdala od mej skroni spadł —  
Gdybyś ze mną poszła w ten posepny świat!

Możeby ta droga mniej już była ślizką,  
Możeby gdzieś w polu błysło nam ognisko,  
I zapłonął przy nim duch, co w piersi skrzępl —  
Gdybyś ze mną poszła w ten bezplodny step!

Możebym nie płakał tak nad tą jałmużną,  
Którą świat mi rzuca... Może dziś napróżno  
Snówby twych nie mącił mój serdeczny żal —  
Gdybyś ze mną poszła w tę bezmierną dal!

\* \* \*

Być może, iż w tej dobie, gdy ja w zmierzchach  
[drzemie,  
Wśród mgławic się rozblyska jakieś wielkie słońce...  
I może jaka świetna myśl nawiedza ziemię  
I pierwszą skrzę zapala czyjeś łono wrzące...

Być może, że już nawet jaki mąż niezłomny  
Porzucił swych najbliższych i swe ciche progi,  
By żyć dla jakiej sprawy świętej, wiekopomnej  
I za nią iść na mękę, albo w bój biedz srogi.

Być może!... Lecz być może, iż w tej samej dobie,  
Złamana, czyjaś matka jęczy nad mogiłą,  
I lza jej, żwir przeciekszy, spada tam, aż w grobie,  
Na zimne, głuche serce, co tak szczęściem było!

I może być, że w ziemi, w nagłej z śmiercią walce  
Z letargu się ofiara budzi — przerażona —  
I dusi się, rwie włosy w mękach, kąsa palec,  
I jęcząc i zgrzytając, krwawi pierś i — kona!

\*   \*   \*

Oto ku dziejom świata obróciwszy głowę,  
Wzrok zagłębiam w tajemnej dziedzinie przeszłości,  
Patrzę i wielkie wskrzeszam tam cienie dziejowe,  
Myśl je mocą swą cudną wyzywa z wieczności,  
A fantazy pochodnia oświetla te kraje:  
I obraz po obrazie zjawia się i staje,  
Jak w blasku czarnoksięskiej latarni, i dzieje  
Przechodzą, ponad nimi wieher czasu wieje,  
Wkoło nich się, jak oblok, proch stuletni klebi...  
I patrzę i wyzywam...

\*

Oto w wieńców głębi  
Zaczyna się wylaniać z mroków tam — przede mną  
Jakiś olbrzym, postacią wznosi się półciemną  
W brzasku podań bajecznych wśród burz i tumanów.  
Poznaje go: to tytan, największy z tytanów,  
Obrońca ludów w myśli uzbrojony wieszczę,  
Nieśmiertelny jak bogi, lecz wspanialszy jeszcze,  
Większy od nich. Poznaje jego wzniosłą postać

W chwili, kiedy się targnął płomień z nieba dostać,  
 Gdy wzbiwszy się nad mroków poziomych odmęty,  
 Porywa pierwszą iskrę, znosi zapal święty.  
 Dla niewdzięcznych narodów, co wśród nocy starej  
 Ciemne, ślepe, bezmyślne błądzą, niby mary,  
 I nie znają się jeszcze z prawdą, ni z nadzieją,  
 Nie wiedzą, co to światło i lzy gorzkie leją.

Szerokimi rysami obraz ten się kreśli  
 W mgłę wieków i ta postać długo tkwi w mej myśli,  
 Olbrzymia, niewzruszona, jak posąg z kamienia —  
 Lecz oko mgli się, mgli się, zaciera i zmienia —  
 W inną...

To już nie tytan... Niespokojne oczy...  
 Wargi zwiędłe, skroń duma jakaś tajna mroczy,  
 Twarz mniej mądra, mniej piękna, lecz niemniej  
     [wyniosła,  
 To jakiś zapalenie... waryat... szewc z rzemiosła...  
 Trawiony dziwną żądzą, zagadkowy męką,  
 Zamierzył czyn straszliwy... Świętokradzką ręką  
 Ten sam zbawiczny ogień prometeuszowy —  
 Chwyta... i płonie cudna świątynia, kolumny  
 Marmurowe pękają... A on, z czynu dumny,  
 Stoł w lunach, z rozwianym włosom i z oczyma  
 Błyszczącymi szaleństwem, jeszcze głównicę trzyma  
 I krzyczy: »Jam to sprawił!« krzyczy... Lud struch-  
     [lały

Odwraca się ze zgrozą; wieki, zamiast chwaly,  
 Chcą zakryć go ciemnością... nawet sama sława  
 Odwraca twarz — a jednak wstaje z dymu krwawa,  
 Nad skronią podpalacza wyciąga ramiona  
 I wkłada na nią wieniec — twarzą odwrócona.

Jaskrawemi plamami obraz ten się kreśli  
 W mgłę wieków; i ten człowiek długo tkwi w mej  
     [myśli.  
 Ciemny, wśród skrzących wichrów, dymów i pło-  
     [mieni.  
 A pożar rośnie, rośnie, wzmaga się, czerwieni,  
 Rozlewa się po miastach, puszczech, świszcze, lata  
 I groźnie coraz więcej obejmuje świata.

Lecz obraz się przekształca, blednie... Doba nowa,  
 Czarny krzyż, na nim w cierniach jakaś jasna głowa.  
 Twarz omdlała, zwieszona, biała i żalobna,  
 Lecz dziwną technie pięknością... twarz tak niepo-  
     [dobna  
 Do poprzedniej, tak święta!... Zmiercha się; On  
     [kona.  
 Ciemno. I tylko świecą lica i ramiona  
 I ciernie, tylko świecą Jego ciała rany  
 Krwawym ogniem, z nich kapie ogień z krwią  
     [zmieszany,  
 On kona. U stóp Jego modlą się anioły,  
 Grzmi Niebo, trumny jęczą, trzęsą się kościoły,

Drżą trony niebotyczne, a od nizin ziemi  
 Z prochów powstaje słowo z cudami swojemi.  
 I znowu blask pogody, cisza i milczenie,  
 I tylko zda się, słyhać sere wzruszonych drżenie...  
 I słyhać nowe z nieba spływające granie;  
 Nowych dzwonów z nad światów echa: »Zmartwych-  
 [wstanie«.

Lagodnemi światłami obraz ten się kreśli  
 W mgłę wieków i ta postać długo tkwi w mej  
 [myśli,  
 Przejrzysta, jaśniejąca świetnością promienia...  
 Lecz oto ćmi się, ćmi się, zaciera i zmienia  
 W inną...

Spóźniony rycerz, w hełmie i zbroiey,  
 Postawa nierycerska, wątła, lecz z żrenicy  
 Tryska do wielkich zwycięstw zapal niestychany.  
 Ot, zaledwo świt pierwsze rozproszył tumany,  
 On już dojrzał coś w dali, krzyczy, spina konia,  
 Szykuje się do boju i leci przez błonia,  
 Podniósłszy ostrą dzidę... A w oddali krzaki,  
 Niknące mgły, chalupy wiosek i... wiatraki!  
 Rycerz leci. Wtem nagle w mgłach spostrzegam  
 [twarze  
 Śmiejące się; szept, chychot, świsty i w tym  
 [gwarze  
 Jakieś dziwne, komiczne imię... Puste echa  
 Roznoszą je, i słońce budzi się, uśmiecha,

Patrzy i śląc swe ostre brzaski porankowe  
 Prosto w twarz rycerzowi, zbroję mu ozlaca.  
 A rycerz zawiędziony, z pola sławy wraca  
 Spuściwszy broń i smutnie pochyliwszy głowę.

Dziwacznymi kształtami obraz ten się kreśli  
 W mgłę wieków i ten człowiek długo tkwi w mej  
 [myśli,  
 Samotny, ośmieszony... i pelen zadumy,  
 Patrzę nań, patrzę na te rozbawione tłumy,  
 Na to słońce, co światłem ironicznie błyska,  
 Patrzę, a sere jakiś dziwny ból mi ścisza...

\* \* \*

O! spadnij, Roso świeża,  
Od rajskich szczęścia bram,  
Jak słodki szept pacierza  
Orzeźwij duszę nam.

W noc żalu, noc tęsknoty,  
Z przebłyskiem jutrzni złotej,  
Zajaśnij doli mej.

Na ciemne trosk mych lany,  
Na żywot w cieri wdeptany,  
Na znojne serca rany  
Swoj balsam czysty zlej!

\*

Już wszystkie wonie kojące  
Wywiał z pączków kielicha;  
Konają kwiaty na łące,  
I kłos za kłosem usycha.



Szarańcza ciągnie przez niwy;  
 W zagrody dżuma wkroczyła;  
 Od wschodu wicher straszliwy  
 Za plagą plagę przysyła.

\*

O, powiej mgłą poranną  
 Żywicznych lasów tehem  
 I zagość świętą manną  
 W samotnem sercu mem.

Jak dziecko sen radosny  
 Woniami zdrowej wiosny  
 Znękaną otocz skroń.

W bezpłodne zwątpień głusze,  
 W płomienne kłąt w katusze,  
 W spragnioną szczęścia duszę  
 Kroplistym dżdżem swym wioń!

\*

Już wszystkie wonie kojące  
 Wywiały z pączków kielicha;  
 Konają kwiaty na łące  
 I kłos za kłosem usycha.

Szarańcza ciągnie przez niwy;  
 W zagrody dżuma wkroczyła;  
 Od wschodu wicher straszliwy  
 Za plagą plagę przysyła.

\*

O, skrop, o, skrop mnie lono,  
 Podarte szponem żądź...  
 Zwilż wargę rozognioną,  
 Co uschła, skargi śląc.

W noc męki, noc zgryzoty,  
 Z jutrenką Prawdy złotej,  
 O, spadnij, jasna Mgło!...

Z krainy spłyn dalekiej  
 W pałace dum mych spieki,  
 Na rzesach mej powieki  
 Świetlaną zdrzyj lzą!

\*

— O, spadnij, Mgło!

\*  
\*  
\*

Nad ciemnej ziemi półkulą  
Pół gwiazd w pogodnej łśni nocy...  
I nieraz drżąc nad jej mgłami,  
Blask półksiężyc migoce...

Lecz odkąd słońca nad niemi  
Półkrąg zawisnął tęczywoj:  
Od tego czasu po ziemi  
Zaczęły chodzić... połowy...  
    Połowy — tylko połowy!

Połowy mają pół czola...  
Lecz się nie martwią tym losem...  
I żyją tylko pół-życiem...  
I mówią tylko pół-głosem...

Połowy grzeszą bez końca,  
Śpiewają, śmieją się, płaczą  
I w słabym świetle pół-słońca  
Pełzają, wiją się, skaczą.

Ja sam wśród polów tych mieszkam,  
I to straszliwie mnie wścieka:  
Nie mogłem nigdzie w tym tłumie  
Całego spotkać człowieka!

Ich wieszczę, w pieśniach odważni,  
Pół-słówka zgrajom rzucali...  
Filozofowie poważni  
Na jednej nodze skakali...

Kapłani, chociaż umieli  
Do nieba modły słać chyże —  
Lecz na ich świątyń wieżycach  
Jaśniały tylko — pół-krzyże.

Ich mędrcy mierząc się z tłumem,  
Choć i przerośli go głową —  
Lecz z całym swoim rozumem  
Też byli tylko połową.  
    Połową — tylko połową!

Lecz dumne, chociaż niecałe —  
Leb zadzierały nieskromnie  
Karykatury te dziwne...  
To mnie bawiło ogromnie.

Ja drwiłem z nich jak szyderca,  
Kąsałem słów je żądlami:

Że mają tylko pół-serca...  
Że tylko są... pół-główkami!...

I rozwodziłem się długo  
O całych kształtów potrzebie...  
I dla przykładu im nawet  
Raz pokazałem na... siebie.

Lecz gdym się przejrzał w zwierciadle,  
Spostrzegłem całkiem rzecz nową:  
Ja, com tak sztydził zajadle,  
Sam byłem również połową!  
    Połową — ledwo połową!

Tylko że jeszcze me lono  
Podwójnie było rozcięte...  
I jeszcze moje pół-serca  
W niem było na pół pęknięte!...

Więc płacząc gorzko jak dziecko  
W serdecznej, ciężkiej żalości,  
Biegałem z krzykiem po świecie,  
»Całości!« krzycząc: »całości!«

Już teraz ze mnie się śmiały  
I drwiły głupie połowy...  
Ha! trzeba było im lepszy  
Dać przykład — przykład wiekowy!

A więc targnąłem się stworzyć  
Im posąg taki wspaniały,  
Co musi stanąć i ożyć —  
Promienny, jasny i cały!

A jaśnieć będzie wzrok jego  
Wszech jutrzni luną namiętą,  
Wsze tęcze grać będą nad nim,  
A w piersi bić wszech sere tętno.

On w gwiazdne wzniesie się końce,  
Wszech piękna gromem zaplonie,  
Nad czołem niosąc słońce słońce —  
W złocistych światel koronie!

Tak myśląc, glinę zbierałem,  
A glina była czerwona.  
By więcej nadać mu prawdy,  
Mieszałem glinę z krwią łona.

I lepiej, tworzę, w dzień, w nocy,  
W rozkosznej wiary uludzie,  
W złych zwątpień dobie sieroczej,  
W serdecznej męce i trudzie...

I gdy już z tysiąc zórz zgasło  
I z tysiąc nocy ubiegło,

Gdy z tysiąc ptaków przepadło  
I z tysiąc duchów poległo:

Mój posąg stanął wspaniale,  
Olbrzymi, piękny i dzielny,  
Na złotym lśnił piedestale  
Ideal mój — nieśmiertelny!

I taka biła od niego  
Dokoła piękność i życie,  
Iż sam mu do stóp upadłem,  
Oczarowany w zachwycie.

I w rozrzewnienia czułości  
Płakałem przed nim łzą drżącą  
Pocałunkami radości,  
Modlitwą czując go żyjącą...

Wtem... chłodem coś mię przejęło...  
Ktoś mi coś świsnął nad głową...  
Spojrzałem: to areydzioło  
Też było tylko połową!  
Tylko połową!

Jam roił... błądy wzrok jego  
Nie pałał duszą namiętą,  
Nie grały sfery ponad niem,  
Nie biło prawdy w niem tętno.

I stało szare, mierzące,  
W pomroku mglistej obstonie —  
Bez lun, co wieńczą słońce słońce,  
Bez gromów boskich w koronie!...

Ach, serce mi się ścisnęło,  
I noc zawisła nad głową:  
Ten bóg mój — to arcydzieło —  
Też było tylko połową!

Więc go strąciłem, rozbiłem,  
Zdeptałem smutny i srogi...  
A marne jego odlamki  
Wam, ludzie! rzucam pod nogi.

